

I

Latem 1945 roku, ledwie skończyła się kampania włoska, odwołano mnie z postoju między Bolonią a Rawenną i skierowano do naszej misji wojskowej w Mediolanie. Po paru tygodniach pracy poprosiłem o urlop. Postanowiłem go spędzić w ciszy i odosobnieniu jakiejś wsi w Piemontcie. Szczęśliwy traf chciał, że zatrudniony w naszej placówce Włoch zaofiarował mi klucze od małego domku u stóp Przedalp, gdzie pod koniec wojny umarł zupełnie sam jego daleki krewny, emerytowany nauczyciel gimnazjum w Turynie. Od śmierci starego samotnika nikt tam nie zamieszkiwał.

Domek znajdował się na zielonym zboczu stanowiącym jak gdyby cokół najwyższego w okolicy szczytu Mucrone, dość wysoko nad szosą z centralnego miasteczka przemysłowego w głąb całego podgórskiego rejonu. Choć położony był na uboczu, szeroka trzykilometrowa droga polna o zakrętach ubezpieczonych murkiem z kamieni łączyła go z szosą u wlotu do pobliskiej wsi.

Zajazd przed domem, posypany żwirem i ocieniony wzdłuż żelaznego parkanu kilkoma klonami, przechodził w bok od bramy w niewielki ogródek: ręka gospodarza dbała widocznie ostatnio tylko o to, by nie dać zarosnąć ścieżkom między grządkami. Mur z obu stron zajazdu znikł już całkowicie pod zbyt rozkrzewionym pokrowcem bluszczu i dzikiego wina. Tylne, zawsze ciemne pokoje wychodziły wprost na pochyłość zarośniętą na pół zwiędłymi krzakami jeżyn i spalonymi przez słońce chaszczami. Łatwy dostęp ze zbocza do okien nasunął budowniczym zrozumiałą myśl o wstawieniu w nich krat, ale i bez tego było coś z dobrowolnej klauzury w ukośnej płaszczyźnie zagradzającej drogę wzrokowi.

Wybrałem dla siebie frontowy pokój na parterze, gdzie jedyne w całym domu ślady życia wskazywały na upodobanie doń także i gospodarza; przez otwór między dwoma klonami roztaczał się widok na dolinę Elvo z jej ciemnozielonymi kępami drzew, jasnymi płatami łąk, czerwonymi cętkami dachów otaczających wieżyczki kościołów i daleko na horyzoncie — wypłowiałymi kapturami zamków na wzgórzach.

Mimo że duży i wygodny, pokój posiadał jedno tylko okno, które nie wystarczało, by rozproszyć panujący tu od świtu do zmierzchu półmrok i wysuszyć w kątach liszaje wilgoci. Nadgryzione przez korniki meble, krzesła i kozetka o wyliniających obiciach ze skóry, gąszcz pajęczyny w kominku i na półce z książkami, lustro nad komodą w złoczonej niegdyś ramie, które odbijało twarz jak przez smugę sadzy — wszystko to zdawało się doskonale harmonizować z czterema sztychami Piranesiego na ścianach. Kto widział bodaj raz w życiu jego sztychy, ten wie, że Piranesi gustował w ruinach i potrafił z nich wydobyć akcent ciała odpadającego od kości. W uczonej dysertacji o jego Więzieniach Aldous Huxley pisze, że wyrażają „doskonałą bezcelowość”: „schody nie prowadzą donikąd, stropy nie podpierają niczego”.

Nad stolikiem w kącie, obok okna, wisiał jeszcze jeden, znacznie mniejszy sztych nieznanego autora i bez podpisu, przedstawiający na tle gór kwadratową wieżę otoczoną dość wysokim murem i wklinowaną pośrodku w sześcienny budynek z paroma zaledwie wąskimi otworami okiennymi. Nie piórko artysty nawet, lecz wyraz opuszczenia i niemej skargi — kamienna korona wieży wznosiła się ku czarnym kłębowi chmur na niebie jak źle zaciśnięta pięść — czynił z tego sztychu martwy krajobraz, przy którym Piranesi stawał się jedynie bukolicznym poetą szczytków antyku. Na stoliku, między dwoma srebrnymi lichtarzami, leżała mała książeczka — tak brudna, wymięta i zatłuszczona kroplami stearyny, że odgadywało się w niej bez trudu ulubioną lekturę gospodarza w ciągu wielu lat. Był to *Le Lepreux de la cite d'Aoste* Francois-Xavier de Maistre'a w przekładzie włoskim i w wydaniu neapolitańskim s z 1828 roku, ograniczonym do pięćdziesięciu numerowanych egzemplarzy. W oryginale angielskim tłumacz zachował motto z *The Seasons*. *Winter* Thomsona:

*Ah! little think the gay licentious proud,
Whom pleasure, power, and affluence surround...
Ahl little think they, while they dance along...
How many pine!... how many drink the cup
Of baleful grief!... how many shake
With all the fiercer torture of the mind!*¹

II

Południowa część Aosty — opowiada de Maistre — nie była nigdy szczególnie zamieszkała i przedstawiała raczej obraz pastwisk oraz pól uprawnych przytykających do resztek murów rzymskich i do niskich murków, jakimi ogradzano działki warzywne. Podróźni jednak odwiedzali ją często, zwabieni dwiema osobliwościami: w pobliżu południowej bramy miasta oglądali ruiny starego zamku z okrągłą wieżą, gdzie według podań ludowych zazdrosny hrabia Renato di Challant zamknął swoją żonę, księżniczkę Marię di Bra-ganza, i zamorzył ją na śmierć

1 „Niewiele myślą próżni i weseli. / Którzy się władzą i bogactwem bawią, / Niewiele myślą, wiecznie roztańczeni / O tych co cierpią, co piją z kielicha / Nieszczęścia i żalu, co gną się trapieni / Najboleśniejzszymi udękami ducha.”

głodem (stąd nazwa wieży *Bramafan*, czyli Krzyk Głodu); przeszedłszy kilkaset metrów wzdłuż kamiennych strzępów muru rzymskiego, stawali przed drugą wieżą — tym razem kwadratową i zbudowaną częściowo z marmuru; legendy ludowe ochrzciły ją mianem Wieży Strachu, *Torre dello Spavento*, gdyż uchodziła za siedzibę duchów i w pochmurne noce widywano w jej drzwiach białą damę z lampą w dłoni.

Około roku 1782 Wieżę Strachu odrestaurowano i otoczono jak obrożą murem przewyższającym znacznie rosłego mężczyznę, by dać w niej schronienie trędowatemu i odizolować go całkowicie od świata. Nieszczęśnik pochodził z małego księstwa Oneglia na wybrzeżu liguryjskim, nabytego przez Swoiów w XV stuleciu. Nie wiadomo dokładnie w jakim był wieku gdy go przywieziono do wieży, w której miał umrzeć, ale sądzić można, że nie przekroczył jeszcze dwudziestu lat. Szpital maurycjański w Aości zobowiązał się dostarczać mu żywność, a władze miejskie zaopatrzyły go w trochę mebli i w narzędzia ogrodnicze. Nie widywał nikogo z wyjątkiem człowieka, który co tydzień przynosił mu zapasy żywności ze szpitala, oraz księdza zachodzącego czasem do *Torre dello Spavento* z pociechą religijną.

W okresie kampanii alpejskiej 1797 roku, a więc w piętnaście lat po osadzeniu trędowatego w Wieży Strachu, de Maistre znalazł się w Aości jako oficer wojsk sabaudzkich. Któregoś dnia przechodził obok wzniesionego dokoła wieży muru i zobaczywszy nie domkniętą furtkę, wszedł z ciekawości do środka. Ujrzał skromnie ubranego człowieka, opartego o drzewo i pogrążonego w głębokiej zadumie. Na dźwięk skrzypiącej furtki i kroków samotnik, nie odwracając głowy, wykrzyknął smutnym głosem: — Kim jesteś, wędrowcze, i czego tu szukasz?

Oficer wyjaśnił, że jest cudzoziemcem i swoje wtargnięcie usprawiedliwił podziwem dla dostrzeżonego przez szparę w furtce ogrodu. — Nie zbliżajcie się, panie — odpowiedział mieszkaniec wieży powstrzymując go ruchem ręki — nie zbliżajcie się, gdyż macie przed sobą trędowatego.

Podróżny pośpieszył z gorącym zapewnieniem, że nigdy w życiu nie unikał ludzi dotkniętych nieszczęściem. Trędowaty zwrócił wówczas ku niemu twarz i powiedział: — Zostańcie tedy, panie, jeśli zobaczywszy jak wyglądam, znajdziecie jeszcze w sercu dość odwagi.

Oficer zamarł na chwilę z przerażenia na widok twarzy całkowicie zniekształconej przez trąd. — Zostanę chętnie — odparł wreszcie. — Może moja wizyta spowodowana zainteresowaniem wniesie również w ten dom cień ulgi.

— Zainteresowanie! — krzyknął trędowaty. — Nie wzbudzałem dotąd innego uczucia poza litością. Ulga! Jest już dla mnie wielką pociechą widzieć człowieka i słyszeć dźwięk głosu ludzkiego, który zdaje się umykać mojej uwadze.

Podróżny zaczął żywo rozpytywać mieszkańca wieży o jego siedzibę. Trędowaty nakrył głowę szerokim kapeluszem, którego opuszczone skrzydła zasłoniły mu prawie zupełnie twarz. Poprowadził najpierw gościa ku części nasłonecznionej ogrodu, gdzie na dużym klombie hodował rzadkie kwiaty z nasion dzikich roślin żyjących na stokach Alp, próbując arkanami sztuki ogrodniczej nadać im większą doskonałość i piękno. Zachęcił go do wybrania paru najpiękniejszych i dodał szybko, że może to uczynić bez żadnej obawy. — Zasiałem je — wyjaśnił, — znajduję przyjemność w podlewaniu ich, w patrzeniu na nie, ale nigdy ich nie dotykam. Chronił je w ten sposób od zarażenia, gdyż inaczej nie mógłby ich nikomu ofiarować. Zrywa je niekiedy posłaniec szpitalny, niekiedy zaś przybiegają po nie z ulicy dzieci; biją piąstkami w furtkę, a on odciąga zasuwkę i natychmiast ucieka na szczyt wieży, by ich nie wypłoszyć i nie zrobić im mimo woli krzywdy; z okna wieży patrzy jak baraszkują chwilę na ścieżkach i rzucają się potem ku klombowi; przed odejściem odwracają się u progu furtki, podnoszą ku niemu główki i przekrzykując się nawzajem, wołają ze śmiechem: *Buon giorno, Lebbroso!* Te dziecinne okrzyki są dla niego źródłem dziwnej radości.

Posadził również w ogrodzie wiele gatunków drzew owocowych i winną latorośl, która wspięła się aż na szczyt jednego fragmentu muru rzymskiego, jaki po otoczeniu Wieży Strachu kamienną obręczą pozostał w obrębie pustelni. Resztką starego muru była tak szeroka, że mógł na niej po zbudowaniu schodków swobodnie spacerować i obserwować przez ogrodzenie daleką wieś, łąki i ludzi na polach, nie będąc przez nikogo widzianym. Ten zakątek upodobał sobie najbardziej. Miasto wydawało się stąd pustynią. — Nie zawsze — powiedział — znajduje się samotność w sercu lasów lub wśród skał. Nieszczęśliwy jest samotny wszędzie.

Był teraz skłonniejszy do mówienia o sobie. Stracił rodziców jako dziecko i nigdy ich nie widział; została mu tylko siostra, która umarła przed dwoma laty; nie miał nigdy przyjaciół. Tak widocznie podobało się Bogu. Podróżny zapytał go o nazwisko. — Ach! — wykrzyknął mieszkaniec wieży. — Moje nazwisko jest straszne! Nazywam się Lebbroso! Nikt nie zna ani nazwiska, które odziedziczyłem po rodzinie, ani imienia jakie otrzymałem na chrzcie. Jestem Trędowaty: oto mój jedyny tytuł do życzliwości ludzi. Oby żyli w nieświadomości, że nosi mnie ta ziemia, i oby na wieki zaginęła wszelka pamięć o moim istnieniu!

Siostra spędziła z nim w Wieży Strachu pięć lat. Tak samo trędowata, dzieliła jego męki, a on próbował ulżyć jej cierpieniom.

Czym się zajmował w tak głębokiej samotności? Zadawszy to pytanie, podróżny dorzucił: — Wyznaję że wieczna samotność przeraża mnie; nie potrafię jej sobie wyobrazić.

— Ten kto kocha swoją celę — odparł Trędowaty — znajdzie w niej spokój. Uczy tego naśladowanie Chrystusa. Zaczynam rozumieć prawdę tych słów niosących pociechę.

Latem pracował w ogrodzie. Zimą wyrabiał koszyki i maty. Szył sobie sam ubrania i przyrządzał posiłki. Poświęcał modlitwie godziny wolne od pracy. Tak zbiegał rok, a gdy mijał, wydawał się prawie krótki.

To prawda że ból i niepokój zdają się wydłużać dni i noce, ale lata płyną zawsze z tą samą szybkością. Istnieje poza tym w najniższym kręgu nieszczęścia przyjemność, której większość ludzi nie potrafi zrozumieć: przyjemność życia i oddychania. Latem spędzał niekiedy długie godziny bez ruchu, rozkoszując się powietrzem i urokami natury. Wszystkie jego myśli stawały się wówczas nieokreślone i jakby zamglone; smutek opadał stężyła na dno jego serca, ale nie wywoływał w nim ucisku; wzrok błądzący po polach i skałach przywijał się coraz bardziej do martwych przedmiotów. Tak, kochał martwe przedmioty: oglądane codziennie, stały się w końcu jedynymi towarzyszami jego życia.

Co wieczór, przed powrotem do wieży, żegnał ostatnim spojrzeniem lodowce Ruitorts, ciemne lasy na zboczach San Bernardo i przedziwne wierzchołki wzgórz królujące nad doliną Rhème. Choć potęga Boska obecna jest w takim samym stopniu w stworzeniu mrówki co w stworzeniu całego wszechświata, wspaniałe widowisko gór narzucało się ze szczególną siłą jego zmysłom: nie mógł patrzeć na te olbrzymie masywy, pokryte wiecznym lodowcem, bez uczucia religijnego osłupienia. Ale i w tej rozległej scenerii miał parę ulubionych punktów: przede wszystkim pustelnię w Charvensod, gdy porzucona wśród gajów i pustych pól odbijała ostatnie promienie zachodzącego słońca. Z nastaniem zmierzchu zatapiał w niej wzrok i czuł jak odpoczywa jego wyobraźnia.

Ta pustelnia stała się prawie jego własnością. Zdarzało mu się niekiedy ulegać podszeptowi mglistej reminiscencji, że żył tam w szczęśliwszych czasach, które z upływem lat wyblakły w jego pamięci. Przejmował go zwłaszcza do głębi widok dalekich gór gubiących się na styku z horyzontem. Na podobieństwo przyszłości, odległość budziła w nim nadzieję; jego umęczone serce gotowe było łatwiej wierzyć, że istnieje nieznaną kraj, w którym kiedyś będzie mógł poznać nareszcie w pełni smak tego szczęścia, jakie przeczuwał tylko w swojej wieczornej kontemplacji; tajemny instynkt dokonywał reszty, — nadzieję zmieniał w możliwość.

Musiał się pewnie zdobyć na wielki wysiłek ducha by, pogodziwszy się z losem, nie dać się opanować rozpaczom? Nie, skłamałby gdyby powiedział, że nie znał nigdy innego uczucia poza rezygnacją. Nie doszedł do tego wyrzeczenia się samego siebie, jakie osiągnęli niektórzy anachoreci. Nie spełniło się w nim jeszcze zupełne całopalenie wszelkich uczuć ludzkich. Życie zbiegało mu na nieustannych walkach i nawet pomoc religii nie zawsze była w stanie powstrzymać pędu jego wyobraźni: wbrew jego woli wyobraźnia ciągnęła go często ku oceanowi chimerycznych pragnień, które roztaczały przed nim fantastyczny obraz nieznanego świata.

Na próżno czerpał z książek wiedzę o przewrotności ludzkiej i o nieszczęściach towarzyszących jak nieodłączny cień doli człowieczej: jego serce odmawiało uwierzenia w to, co czytały jego oczy. Los ludzi wolnych wydawał mu się tym godniejszy zazdrości, im bardziej oplakany był jego własny. Na początku wiosny, gdy wiatr Piemontu zaczynał dąć w dolinie Aosty, czuł się do szpiku kości przeniknięty jego ożywczym ciepłem i chęć życia wzbierała w nim gwałtownie, zrywając wszystkie tamy. Wymykał się wówczas po kryjomu ze swego więzienia i błąkał się po okolicznych polach odurzony przestrzenią. Krył się by nie być zobaczonym przez tych samych ludzi, których jego serce tak gorąco pragnęło spotkać. Ze szczytu wzgórza, zaszyty w krzakach jak dzikie zwierzę, ogarniał wzrokiem miasto. Śledził z daleka mieszkańców Aosty, którzy ledwie o nim słyszeli, wyciągał ku nim z jękiem ręce i domagał się swojej części szczęścia. W przyływach uniesienia (wyznawał to ze wstydem) obejmował niekiedy ramionami drzewa w lesie, zaklinając Boga, by je ożywił i dał mu choć jednego przyjaciela. Ale drzewa odpychały go swoją chłodną korą, szumiały nad nim milczeniem. Pokonany przez zmęczenie, prawie u kresu sił, wracał w końcu do wieży i szukał ulgi w modlitwie.

Przeżywał więc — nieszczęsny! — wszystkie naraz cierpienia duszy i ciała? Nie te ostatnie były najokrutniejsze. Co miesiąc stawały się wprawdzie dotkliwsze, lecz potem stopniowo słabły. Gdy księżyc przebiegał niebo cienkim sierpem, choroba odzywała się natychmiast ze wzmożoną siłą; w miarę jak zaokrąglął się w tarczę, łagodniała i zdawała się zmieniać swoją naturę: skóra na jego ciele wysychała i bieleła, i nie czuł już prawie bólów. Nie same bóle zresztą były najgorsze, ale ich wierne echo — bezsenność.

Ach, bezsenność, bezsenność! Nikt, kto tego sam nie doświadczył, nie potrafi sobie wyobrazić jak smutna i długa jest noc, którą spędza się bez zmruczenia oka i z myślą utkwioną w przyszłości wyzutej całkowicie z nadziei! Nie, nikt tego nie potrafi zrozumieć. Jego niepokój rósł wraz z nocą. Zbliżający się świt zastawał go w takim podnieceniu, że mąciły mu się myśli, nie wiedział już co się z nim dzieje i stawał się ofiarą niezwyklej halucynacji. To zdawało mu się, że jakaś neodparta siła ciągnie go w przepaść bez dna, to znowu tuż przed jego oczami czarne plamy krzyżowały się z szybkością błyskawicy, rosły zbliżając się do niego i przeobrażone niebawem w góry, przygniatały go swoim ciężarem. Widywał też niekiedy wynurzające się dokoła z ziemi chmury, które na podobieństwo skłębionych bałwanów morskich groziły mu połknięciem. Gdy usiłował się podnieść i wyzwolić z tych przywidzeń, niedostrzegalne pęta przykuwały go do łóżka. Nie, nie były to sny. Widział ciągle to samo i groza tych doznań przewyższała wszystkie udreki jego ciała. Może te okrutne majaki podsuwała mu gorączka wywołana bezsennością? Trędotawo spojrział na swego gościa z nadzieją: Ach, gdybyż to była tylko gorączka! Gdyby podobało się Bogu doświadczać go tylko gorączką! Drżał dotąd zawsze na myśl o tym, że nawiedzają go pierwsze oznaki obłądka...

Podróżny przysunął się do niego bezwiednie. — Nie boicie się, panie — ostrzegł go mieszkaniec wieży, — stać

tak blisko mnie? Usiądźcie na tym kamieniu. Schowam się za liście i będziemy mogli rozmawiać nie widząc się nawzajem. Ostrożnie! O mały włos wasze palce dotknęłyby mojej dłoni!

— Miałem ochotę ją uściskać — powiedział oficer.

— Podobna przyjemność — odparł Trędowaty — spotkałaby mnie pierwszy raz w życiu: nikt nigdy nie uściskał mojej dłoni.

„Nieszczęśliwi lubią mówić o swoim nieszczęściu”. Po tych słowach mieszkaniec wieży podjął znowu swoją opowieść. Siostra była jedynym ogniwem łączącym go z ludzkością. Pękło ono z woli Wszchemocnego, skazując go odtąd na wieczną samotność. Natura ich choroby odebrała im jednak także dar normalnej zażyłości, jaka wiąże zapewne w wolnym świecie przyjaciół w nieszczęściu. Nawet kiedy zbliżała ich fizycznie wspólna modlitwa, unikali wzajemnego patrzenia na siebie, by nie mącić tym strasznym widokiem pobożnych rozmyślań, a ich spojrzenia spotykały się tylko w niebie. Po modlitwie towarzysza jego samotności wracała zazwyczaj do swojej celi, lub znikwała za leszczynowym żywopłotem otaczającym ogród.

Ta surowa reguła współżycia miała swoje przyczyny. Gdy trąd, którego ofiarą padła cała jego rodzina, zaatakował również na koniec jego siostrę i przywieziono ją do wieży w Aoście, nie widzieli się jeszcze nigdy w życiu: na widok brata jej oczy rozszerzyły się nagle bezgranicznym przerażeniem. Obawa by jej nie pograżać swym wyglądem w rozpacz, a stokroć większa — by przez za bliskie obcowanie nie rozszerzyć zasięgu jej choroby, narzuciły mu ten smutny tryb życia. Trąd poraził tylko jej piersi i nie zgasił ostatniego promyka nadziei, że uzdrowiona opuści kiedyś ten przybytek dla pogrzebanych żywcem. W miejscu gdzie teraz widać było resztki altanki zasadził po jej przyjeździe przegrodę z chmielu, która dzieliła ogród na dwie części; po obu stronach zielonego płotu biegły wąskie ścieżki: mogli przechadzać się po nich razem nie widząc się nawzajem i nie zbliżając się do siebie zbyt blisko.

Mimo wszystko przecież nie był wówczas sam. Nasłuchiwał w samotności dźwięku jej kroków. Kiedy o świcie wychodził pod drzewa na poranną modlitwę, drzwi wieży otwierały się cicho i jej głos przyłączał się do jego głosu. Kiedy przed wieczorem podlewał kwiaty, spacerowała czasem w smudze zachodzącego słońca i jej cień jak wahadło przesuwiał się na klombach. Nawet gdy ją widywał rzadziej, znajdował wszędzie ślady jej obecności. Którejś nocy, chcąc zagłuszyć wyjątkowo ostre bóle, zaczął przemierzać dużymi krokami celę. Poczuvszy znużenie, usiadł na chwilę na łóżku. W martwej ciszy nocnej usłyszał nagle za drzwiami jakby leciutki szelest. Podeszedł do drzwi, przyłożył ucho i natychmiast zrozumiał: klęczała tuż za progiem i ledwie dosłyszalnym szeptem zmawiała Miserere. Łzy napłynęły mu do oczu, obsunął się na kolana i samym ruchem warg powtarzał jej słowa. „Idź spać — powiedział do niej wreszcie, — czuję się już trochę lepiej. Niech ci Bóg wynagrodzi twoje miłosierdzie”. Oddaliła się w milczeniu. I jej modlitwa została istotnie wysłuchana, gdyż zmorzył go w końcu na parę godzin spokojny sen. A teraz? Teraz był znowu zupełnie sam.

Po jej śmierci zapadł w odrętwienie, które pozbawiło go zdolności zmierzenia do dna otchłani jaka otworzyła się pod jego stopami. Gdy oprzytomniał na tyle by móc ogarnąć swoją nową sytuację, był bliski pomieszczenia zmysłów. Ten okres odcisnął się w jego pamięci jako podwójnie bolesny: przypominał mu przede wszystkim największe z dotychczasowych nieszczęść; lecz przypominał mu także powściągniętą w ostatniej chwili pokusę zbrodni.

Już dawniej, w przystępach depresji, stawała przed nim myśl o porzuceniu tego życia, zawsze jednak umiał nad nią na czas zapanować. I oto zwykły drobiazg, który na pozór mało się nadawał by wzburzyć do głębi jego serce, pchnął go niemal na skraj samobójstwa.

Przed paru laty przybłąkał się do wieży mały kundel. Oboje z siostrą otoczyli go najczulszą opieką. Po jej śmierci ten pies był wszystkim co mu zostało.

Jego brzydocie przypisać zapewne należało, że wybrał sobie na schronienie Wieżę Strachu. Przepędzany przez żywych, był prawdziwym skarbem w domu umarłych. Nadali mu imię *Miracolo*, gdyż swoją nieustanną wesołością dostarczał im czasem parę chwil przelotnego zapomnienia. I choć często przepadał gdzieś na długo, jego nowemu panu nigdy nie przyszło na myśl, że te eskapady mogą wywołać niepokój wśród mieszkańców Aosty. Pewnego dnia jednak do wrót wieży zapukało dwóch żołnierzy z rozkazem natychmiastowego utopienia czworonożnego przybłądy w Dorze. Schwytali go na pętłę i poczęli ciągnąć w kierunku furty. Tłum zebrany na ulicy pożałował mu nawet tej śmierci w czystych falach Dory i zatłukł go tuż za bramą kamieniami.

Na odgłos wycia ludzkiego Trędowaty uciekł do celi na wpeł żywy. Uginały się pod nim nogi. Rzucił się nieprzytomny na łóżko i w jego sercu otworzyły się na powrót wszystkie dawne i świeże rany.

W takim stanie ducha zwlókł się o zachodzie słońca do swojego ulubionego zakątka. Znajomy krajobraz uspokajał go z wolna, gdy nagle na ścieżce w pobliżu muru dostrzegł parę zakochanych. Szli zatopieni w swym szczęściu, przystawali co parę kroków i obejmowali się ze spokojną ufnością, nie podejrzewając nawet, że z ukrycia śledzi ich i pożera prawie czyjś zazdrosny wzrok. Tak, zazdrosny: nigdy w życiu przed samotnym mieszkańcem wieży nie odsłonił się tak żywo obraz ludzkiego szczęścia, i po raz pierwszy zakradła się do jego serca zazdrość. Wrócił szybko do celi. Boże, jakaż mu się teraz wydawała pusta, pępna i straszna! „A więc to tu — krzyknął na głos — przeznaczone mi jest żyć zawsze; tu, wlokąc za sobą moje nędzne istnienie, muszę oczekiwać odległego końca moich dni! Wiekuisty rozlał strumienie szczęścia na wszystko co oddycha i tylko ja, ja

jeden, muszę żyć sam! Jakiż okrutny los!” Pełen tych smutnych refleksji, zapomniał o jedynym jaki mu jeszcze został pocieszycielu — o sobie samym. „Czemu — ciągnął swój bluźnierczy monolog — ujrzałem światło dzienne? Czemu natura tylko mnie jest macochą? Podobny do wydziedziczzonego syna, mam przed oczami bogatą puściznę rodzaju ludzkiego, a niebo w swoim skąpstwie tylko mnie odmawia należnej mi części. Nie, nie — wezbrał w nim gniew, — nie ma dla ciebie szczęścia na tej ziemi; umrzyj, nieszczęsny, umrzyj! Za długo kalaleś ją swym istnieniem, niech cię pochłonie żywym, niech zginie po tobie wszelki ślad!”. Pęczniała w nim z każdą chwilą niepohamowana wściekłość. Pragnienie samozniszczenia opętało wszystkie jego myśli.

Postanowił podpalić wieżę i płomieniom powierzyć spopielenie najmniejszych okrucichów pamięci po sobie. Wyszedł podniecony za bramę. Błąkał się jakiś czas u stóp muru. Z jego piersi wyrzywały się mimowolne okrzyki i napełniały go wśród nocnej ciszy przestraszonym. Odchodząc od zmysłów, cofnął się ku bramie i zawołał: „Biada ci, Trędowaty, biada ci!”. I jak gdyby wszystko sprzysięgło się na jego zgubę, usłyszał naraz od strony zamku Bramafan echo powtarzające wyraźnie: „Biada ci!”. Zatrzymał się w otworze furtki i spojrzał za siebie; słabe echo gór podjęło przeciągle: „Biada ci!”. Wziął lampę, nabierał trochę chrustu i suchych gałązek na podpałkę, i poszedł do najniższego pokoju wieży, gdzie za życia mieszkała jego siostra. Nie zachodził tu od jej śmierci nigdy: wszystko wyglądało jeszcze tak, jakby umarła dopiero wczoraj. Postawił lampę na stole i zobaczył obok Biblię założoną wstążeczką z krzyżykiem, który nosiła zawsze na szyi. Zdrętwiał na ten widok, porażony jak piorunem myślą o otchłani, do której się zbliżał. Gdy otworzył machinalnie Biblię, wypadł z niej zapieczętowany list. „Zostawię cię wkrótce samego — pisała, — ale nigdy cię nie opuszczę. Będę czuwała nad tobą z nieba. Będę błagała Boga by ci dał odwagę znoszenia z rezygnacją życia aż do chwili, gdy spodoba Mu się połączyć nas na nowo w lepszym świecie. Zostawiam ci ten krzyżyk, który nosiłam całe życie: często przynosił mi pociechę w cierpieniach, a moje łzy nie miały nigdy innego świadka poza nim. Pamiętaj kiedy go zobaczysz, że moim ostatnim pragnieniem było byś żył i umarł jak dobry chrześcijanin”.

Choć trudno w to uwierzyć, po przeczytaniu ostatnich słów ujrzał przed oczami ciemną chmurę i zapadł w stan omdlenia. Była już gęsta noc gdy się ocknął, i wszystko co zaszło w ciągu dnia wydało mu się naraz snem. Podniósł dziękczynny wzrok ku niebu: firmament był czysty i pogodny, na wprost okna migotała samotna gwiazda. Czyż nie tkwiła pewna otucha choćby w tym, że jeden z jej promieni przeznaczony był dla celi Trędowatego? Wrócił do siebie na górę i resztę nocy spędził na lekturze *Księgi Hioba*, czując z radością jak rozwiewa się niby czarna mgła szaleństwo, które nie tak dawno jeszcze pchało go prosto w objęcia zbrodni.

— O litościwy cudzoziemcze! — westchnął nagle Trędowaty. — Obyś dostąpił łaski Bożej i nie musiał nigdy żyć sam!

Po czym zamyślił się i dodał: — Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat gdy umarła, ale cierpienia zdawały się ją znacznie postarzać. Mimo choroby, która zmieniła rysy jej twarzy, byłaby jeszcze piękna gdyby nie ta straszliwa bladeść... Była żywym wizerunkiem śmierci i nie mogłem na nią patrzeć bez drżenia... Cierpiała tak strasznie, że śledziłem z rozpaczliwą radością zbliżanie się końca...

Skończywszy swą opowieść, Trędowaty ukrył twarz w dłoniach. Po chwili milczenia wstał i powiedział: — Kiedy wpadniecie, panie, w sidła bólu i zgryzoty, pomyślcie o samotniku z miasta Aosta. Wasza wizyta nie okaże się wówczas nadaremna.

Ruszyli w stronę bramy ogrodu. Tuż przed wyjściem na ulicę oficer naciągnął na prawą rękę rękawiczkę i wyraził ponownie chęć uściśnięcia dłoni swego rozmówcy. Trędowaty uskoczył parę kroków w tył prawie przerażony i podniósłszy oczy i ręce ku niebu, krzyknął: — Miłosierny Boże, obsyp szczerze dobrodziejstwami tego litościwego przechodnia!

Czy mogliby chociaż co pewien czas do siebie pisywać, oczywiście z zachowaniem koniecznych środków ostrożności? Na mgnienie oka w twarzy Trędowatego zawisło wahanie. — Po co — odparł wreszcie — szukać ucieczki w złudzeniach? Nie wolno mieć innego towarzysza poza sobą samym, innego przyjaciela poza Bogiem. Żegnaj, szlachetny cudzoziemcze, żegnaj i niech cię Bóg prowadzi... Żegnaj na zawsze! Podróżny wyszedł. Trędowaty zamknął furtkę i pchnął zasuwkę.

III

Latem w tych stronach bliskie sąsiedztwo Alp łagodzi wprawdzie dokuczliwość upałów, lecz w zamian za to wywołuje w przybytku z nizin coś w rodzaju sennego odrętwienia. Cisza jest tu absolutna: czasem tylko spada skądś ptak i odbiwszy się ciężko od ziemi, znika w zielonych koronach drzew jak zabłąkany kamień ze zbocza górskiego przebijający ciemną i nieruchomą powierzchnię jeziora; kiedy indziej ucho ledwie chwyta przytłumiony dźwięk dzwonka z dalekiego pastwiska, podobny do echa dobywającego się słabo z dna głębokiej studni. Lepkie i gęste powietrze, nakrywające za dnia dolinę opalowym kloszem, unosi się z pierwszym powiewem wiatru dopiero o zmierzchu, gdy słońce dosięgnąwszy linii gór czerwienieje na krótko chłodnym blaskiem i gaśnie.

Także ludzie spragnieni odosobnienia nie doznają zawodu szukając go wśród tych wzgórz, które po włosku noszą nazwę *colline* — równie płynną i melodyjną jak ich kształt, pełen melancholii w rysunku i złotawym odcieniu zieleni. Zdarzało się, że nie oglądałem przez cały dzień ludzkiej twarzy. Dopiero po zmroku szedłem na wieś i przesiadywałem do późna w jedynej tawernie, gdzie chłopci piemoncecy w kapeluszach na głowach pili

miejsce, prawie czarne wino i śpiewali swoje gardłowe pieśni do księżyca, który ogromną łuską przeświecał między liśćmi w dachu altany.

W pierwszych dniach września spadły deszcze. Strugi wody biły w ściany domu i w dygocące szybki okien, przebiegały z dudnieniem po klawiszach obłuzowanych dachówek. Po południu robiło się już prawie ciemno, a niebo wiszące nisko nad doliną Elvo wyglądało jak szara ścierka z worka, wyżymana przez niewidzialne w kłębach pary ręce do ogromnej balii. Przejaśniało się czasem na krótko w godzinach rannych i nawet wtedy nie zawsze ustawał deszcz, lecz zamieniał się w słoneczną ulewę, w rozczesywane światłem sznury srebrnych kropel. Chmury opinały Mucrone postrzępionym i zwelnionym kołnierzem na połowie wysokości — sam szczyt górował nad nimi splukany do czysta, świeży mimo popielatego koloru skał. Liście drzew miały połysk ciemnozielonego szkła butelek, dno doliny przypominało spuszczone i pokryty wodorostami staw.

Po części z nudów, a po części jakby należało to do nietykalnego obyczaju tego domu, czytałem ciągle na nowo leżącą na stoliku książeczkę. Często — zwłaszcza nocą — po przeczytaniu ostatnich słów unikałem spojrzenia na brudne ściany obwieszane sztychami i połamane cieniami mebli, i z ulgą przyglądałem się ómom objającym się o sufit w bladym kręgu abażuru. Moja jedyna lektura zaczęła po pewnym czasie wywoływać stale ten sam obraz pamięci.

W okolicach miasta w którym się urodziłem słynie wśród miłośników krajoznawstwa kilkusetmetrowa góra, zwana Świętym Krzyżem od relikwii przechowywanych podobno na jej szczycie w starym opactwie Bernardynów. U jej podnóża, obok drogi z najbliższego osiedla ludzkiego, stoi kamienna figura zwrócona ku opactwu. Jest to kłęczący „pielgrzym świętokrzyski”, uważany przez badaczy tego rejonu za wotum pobożnego pątnika sprzed wielu stuleci.

Mądrość ludu otoczyła figurę kamiennego pielgrzyma legendą: posuwa się on co roku na kłęczkach o ziarnko maku i gdy dojdzie na szczyt Świętego Krzyża, nastąpi koniec świata. Twórcom tej legendy nieobce były jak widać rozmyślenia z zakresu rzeczy ostatecznych, ale co znacznie bardziej zastanawiające — także subtelniejsze związki między nadzieją a beznadziejnością, wiarą a rozpaczą. Wolno bowiem przypuszczać, że w swojej nieskończonej wędrówce, raniąc sobie kolana o przydrożne kamienie, pielgrzym świętokrzyski dojdzie kiedyś i nie dojdzie nigdy do celu swej wędrówki; gdyby zaś nawet doszedł, w nagrodę za swoją wytrwałność uzyska tylko tyle, że równocześnie ze światłem zbawienia ujrzy ogień ostateczny pochłaniający wraz z nim całą ziemię.

Kamienny pielgrzym nie ma twarzy, lecz małą zniekształconą głowę osadzoną wprost na korpusie; czoło i nos zlewają się w niej w jedną pionową linię z brodą, a oczy są niby dwa ciemne otwory w kapturze — jak oczy ślepców, patrzą przed siebie nie widząc; włosy opadają mu na umieszczone nienaturalnie nisko ramiona, ręce splótł nabożnym gestem na piersiach; szeroką podstawę kłęczącej postaci obrasta murawa. Wyżarty przez wiatry i deszcze, ze śladami obtłuczeń w wielu miejscach, jest posągiem bezgranicznej cierpliwości. I tylko stali przechodnie, którzy omijają go obojętnie jak niezauważalną już część przyrody, uprzytamniają tą obojętnością obcym, że musi być również bezgranicznie samotny.

To właśnie, prócz wyglądu zewnętrznego, skojarzyło go przypuszczalnie w mojej wyobraźni z mieszkańcem Wieży w Aoście.

IV

Z początku sądziłem, że zainteresowanie gospodarza domu w którym zamieszkałem książeczką de Maistre'a tłumaczyło się zawartą w niej osobliwą pociechą.

Tę supozycję nasunął mi wstęp do neapolitańskiego wydania dziełka z roku 1828. Autor przekładu napisał go w modnej podówczas formie dedykacji. Jej adresatka — *Principessa di Torella, Duchessa di Lavello* etc., etc. — proszona była przez swego unizonego sługę o przyjęcie włoskiej wersji tej książeczki, która podobała się bardzo za życia ambasadorowi Prus w Królestwie Neapolu, hrabiemu Flemmingowi. Przedwczesna śmierć ambasadora — „dla wszystkich bolesna, dla Ciebie, Pani, najboleśniejsza” — zasługi wała w pełni na to, by ją uczcić w podobny sposób. Hrabia Flemming bowiem mawiał często, że nie ma na świecie człowieka, który w największej nawet rozpacz nie poczuje się w porównaniu z owym Trędowatym prawie zadowolony z życia, nazywał opowieść o nim Poczyszycielką Nieszczęsnych i ponieważ sam padał niejednokrotnie ofiarą zgryzoty i goryczy, nie rozstawał się z nią nigdy niby z ampułką wiecznie kojącego balsamu. Zachwyt ambasadora udzielił się księżnej Torella di Lavello, i od niej to o istnieniu relacji de Maistre'a dowiedział się autor przekładu. Przeczytał dziełko i głęboko w serce zapadł mu przede wszystkim gest odmowy, jakim mieszkaniec Wieży w Aoście uchylił się od uściśnięcia dłoni swego gościa i nawiązania z nim korespondencji, przyjmując z odwagą i rezygnacją podwójny krzyż cierpienia i samotności: wspaniały przykład dany naszej płaczącej epoce i bliski każdemu, kto za najgłodniejszy wyraz nieszczęścia uważa nie skargi i żale, lecz milczenie. Milczenie, co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty.

Czyż można było mieć wątpliwości, że z tej niewyczerpanej ampułki wiecznie kojącego balsamu zażywał codziennie przez lata parę kropel osamotniony emeryt z Turynu w swojej małej Wieży u stóp Mucrone?

Rychło wszakże odkryłem, że byłem w błędzie. W szufladzie stolika znalazłem kajet, wskazujący na to, że sprawa zajmowała jego właściciela znacznie głębiej. Do dziś nie umiem powiedzieć jakie miał zamiary —

literackie, historyczne czy filozoficzne, — gdyż rękopis zawierał tylko różnego rodzaju notatki i wyciągi, i ani jednego słowa od autora.

Na pierwszej stronie widniał drukowanymi literami po łacinie przypuszczalny tytuł zamierzonej pracy: *Vita Dum Superest, Bene Est*². Dalsze stronicie, czasem u góry jedynie lub do połowy pokryte niewyraźnym pismem, nie dawały dostatecznie jasnego pojęcia w jakim stopniu ten tytuł posiadał odcień gorzkiego szyderstwa, a w jakim stanowił wyznanie wiary piszącego. Prawdę mówiąc, zapiski gospodarza nie dawały pojęcia o niczym, i swoją przypadkowością wystawiały świadectwo jego chaotycznym raczej rozmyślaniom i dociekaniom. Raz była to zwykła informacja o prawdziwym nazwisku i dacie śmierci trędowatego z Aosty: Pier Bernardo Guasco, umarł w roku 1803, w sześć lat po wizycie de Maistre'a. Kiedy indziej uwaga Octave'a Mirbeau, że trąd jest chorobą, z której ani się człowiek nie leczy, ani na nią nie umiera. Tuz pod tą uwagą, nawiązującą do tradycji trądu jako „choroby mistycznej”, cytat z Kierkegarda: „Gdyż nie trzeba myśleć, że w sensie dosłownym umiera się na tę chorobę śmiertelną (rozpacz), lub że ta choroba kończy się śmiercią fizyczną. Przeciwnie, tortura rozpaczki tkwi właśnie w tym, że nie można umrzeć. Stąd przypomina ona stan umierającego, gdy miota się w walce ze śmiercią i nie może umrzeć. A zatem wpaść w chorobę śmiertelną to nie móc umrzeć, ale nie jakby istniała nadzieja życia, nie — brak wszelkiej nadziei oznacza tu, że brak nawet ostatniej nadziei, nadziei śmierci. Gdy śmierć jest największym niebezpieczeństwem, pokłada się nadzieję w życiu; ale gdy się zna jeszcze straszniejsze niebezpieczeństwo, pokłada się nadzieję w śmierci. Kiedy niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że śmierć stała się nadzieją, rozpacz jest brakiem nadziei, że można umrzeć”. To znowu parę wersetów z *Księgi Kapłańskiej (Leviticus, XIII, 44-46)*: „Ktokolwiek tedy będzie splugawiony trądem, a oddzielony został za rozsądnym kapłańskim, będzie miał szaty rozprute, głowę odkrytą, usta szatą zakryte, i będzie wołał, że jest splugawiony i nieczysty. Przez wszystkie dni, póki jest trędowaty i nieczysty, sam będzie mieszkał za obozem”. Najbardziej zaciękały mnie długie wypisy z dokumentowe życia trędowatych od Średniowiecza po XVII wiek, które Ambroise Paré znalazł w archiwach *Hôtel Dieu* w Paryżu. Był tam średniowieczny dekalog trędowatego, zabraniający mu z rozkazu króla wszystkiego co mogłoby go pośrednio choćby zbliżyć do ludzi, czyli wszystkiego z wyjątkiem samego pozostawania przy życiu i oddychania (a i tu jeden z punktów pozwalał mu odpowiadać na pytania tylko z twarzą odwróconą w kierunku wiatru). Potem opis „inwestytury” trędowatego, lub raczej jego doczesnego pogrzebu. Najpierw ksiądz w stulę i komży oczekiwał go na progu kościoła i odczytywał mu publicznie certyfikat lekarski, uznający go na podstawie prawem przepisanych symptomów za dotkniętego chorobą. Dalej ten sam ksiądz pokrapiał go wodą święconą i torował mu wśród tłumu drogę do wnętrza domu Bożego, obwieszono go kirem i z katafalkiem w głównej nawie obok ołtarza. Po mszy żałobnej za spokój jego duszy owijano go w białe prześcieradło, kładziono na noszach i cały orszak wyruszał na cmentarz, gdzie nad świeżo wykopanym grobem ksiądz posypywał mu głowę garstką ziemi i wygłaszał sakramentalną formułę: „Oto znak, że jesteś umarły dla świata. Odrodzisz się w Bogu. Bądź przeto cierpliwy, cierpliwy jak Chrystus i Jego Święci, do dnia, w którym wstąpisz do Raju, gdzie nie ma żadnych chorób, gdzie wszyscy są czysti i głady, bez plam i krost, świetniejsi blaskiem niż słońce”. Wreszcie ksiądz wręczał mu ostrożnie kapuce, koszyk, małą baryłkę i kij zakończony trzema ruchomymi płytkami, wygłaszając przy tym następną sakramentalną formułę: „Weź ten strój i przywdziej go na znak pokory. Koszyk i baryłkę, aby ci służyły na jadło i wodę. Kij z grzechotką, abyś zawczasu ostrzegał przechodniów o swej obecności”.

W prywatnym archiwum domku pod Mucrone jedno tylko słowo mogło odsłaniać rąbek uczuć czy myśli samego archiwisty, ale było ono niestety zbyt dwuznaczne. Na marginesie ostatniej stronicy książeczki de Maistre'a, w miejscu gdzie opowiada on jak po swojej propozycji wymiany listów spostrzegł na oka mgnienie w twarzy mieszkańca Wieży wahanie, ołówki jej wiernego czytelnika zrobił klamrę i dopisał z boku: *Perché?*, które zastanowiło mnie dopiero kiedy zapoznałem się z przechowywanym w stoliku zeszytem. Czy wyrażało ono zdziwienie, że Trędowaty z Aosty nie przyjął w lot tej oferty i nawiązywało do łacińskiego zdania na tytułowej karcie zeszytu, czy też przeciwnie — dezaprobatę że się w ogóle na ułamek bodaj sekundy zawahał, zamiast dźwigać nadal śmiało i z rezygnacją swój „podwójny krzyż cierpienia i samotności” i nie zdradzać cienia nawet lęku przed wiecznym milczeniem, „co czerpiąc soki żywotne z siły ducha, otwiera ramiona samotności i jedynie od Boga oczekuje zapłaty”? Do dziś, mimo wszystko co mi później opowiedziano w sąsiedniej wsi o losie mojego zmarłego gospodarza, nie znajduję na te pytania odpowiedzi. Nie znajduję jednak także odpowiedzi na inne pytanie, dotyczące samego rozmówcy de Maistre'a: czy w jego przelotnym błysku wahania zabił jeszcze raz ledwie dostłyszalny puls nadziei, czy w tym który od dawna umarł dla świata jako Lebbroso obudził się po latach ostatni raz na krótką choćby chwilę Pier Bernardo Guasco?

Deszcze skończyły się równie niespodzianie, jak się zaczęły. Schyłek lata w włoskich wsiach przedalpejskich trudno odróżnić od przewlekłego i gorącego początku jesieni, który trwa niekiedy do końca października i przesila się wolno w leniwej dojrzałości górskiego słońca. Bywa że dopiero w listopadzie chłodne poranki oznajmniają nagle oziębienie.

Szeleszczące wysoko w słońcu srebrne wstęgi strumieni zdawały się zmywać ze mnie mroczne wspomnienie moich lektur. Zdawały się, gdyż w kilka dni po wypogodzeniu się nie potrafiłem się oprzeć pokusie tej wyprawy,

2 Życie jest dobre, kiedy przerasta siebie.

po której cóż mogłem sobie obiecywać poza dotknięciem zapadającego się w głąb ziemi grobu?

V

Bramą do Val d'Aosta jest nominalnie Ivrea, ale prawdziwa dolina zaczyna się nieco dalej, na wysokości Chateau d'Issogne, piętnastowiecznego okazu późnego gotyku zbudowanego przez hrabiów di Challant — ten sam ród, który według legendy ludowej wydał oprawcę księżniczki di Braganza z wieży Bramafan.

Wjazd do Val d'Aosta musi na każdym podróżnym robić wrażenie przeskoku z królestwa światła do królestwa półmroku, strzeżonego po obu stronach przez ciężkie cienie skał. Istnieją doliny, gdzie światło dzienne wcieka skąpo przełęczami górskimi; tutaj dociera jakby spod ziemi. Nawet na małą odległość niełatwo rozpoznać od razu wiek przechodniów, brodzących w ciemnej posoce. Włosi nazywają Dolinę Aosty *la valle tetra*. Jest ona istotnie ponura, chociaż to nazbyt zdawkowe słowo wyrządza krzywdę posepnemu pięknu owej smugi cienia rozgraniczającej dwa światy. W miarę posuwania się naprzód wzrok zaczyna oswajać się powoli z półmrokiem i rzadko odrywa się od przyćmionego pasma mgły nad wodami potoku górskiego, który echem huku uderza o ścianę niewybuchłych głązów.

Od Saint-Vincent dolina się rozjaśnia i nabiera bardziej pogodnych akcentów. Potem nowy konterfekt w drodze wijącej się monotonicznie wśród lasków kasztanowych i pustych pastwisk na zboczach, i aż do mostu na Dorze *la valle tetra* usprawiedliwia na powrót swoją nazwę. Za rzeką jednak otwiera się zniecacka głęboka miednica właściwej Aosty, nasyciona zielenią winnic i łąk, podobna dzięki rozrzuconym beładnie plomom małych osiedli i samotnych domków do palety malarza. Pod wpływem tak gwałtownego kontrastu podróżny zapomina, że tę kolorową muszlę natura uwieźliła w martwym uścisku nagich szczytów i lodowców. Przypomni mu o tym wyrazem surowości samo miasto.

Swoją surowość zawdzięcza Aosta — dawna Augusta Praetoria — nie tylko szczątkom rzymskim i średniowiecznym, sterczącym starymi wykrotami z nowego miasta. Ulice są wąskie, lecz pozbawione teatralnej ruchliwości zaułków Południa; domy mają sztywną i odpychającą schludność, ludzie o chmurnych i twardych twarzach zachowują nawet w momentach ożywienia ociężałą powagę, jaką spotyka się raczej w krajach protestanckich niż katolickich. Wyczuwa się jakąś szczególną harmonię między tym klimatem życia a kamiennym i ascetycznym spokojem kolegiaty San Orso. Aosta jest miastem zamkniętym: wyszedłszy za rogatki większości dróg wylotowych, staje się w obliczu masywnego i groźnego muru Alp; przedłużenie ulicy Xavier de Maistre'a, na przykład, stanowi szosa prowadząca ku przełęczy Wielkiego św. Bernarda.

Czas robi swoje, wymazuje nawet pamięć o ludzkich cierpieniach. Mimo ulicy de Maistre'a, mimo *Via Torre del Lebbroso*, mimo że Aosta jest dziś w gruncie rzeczy niewielką miejsciną, żadna z zapytanych o to osób nie potrafiła mi wskazać dokładnie drogi do wieży gdzie spędził dwadzieścia jeden lat Pier Bernardo Guasco. Minęło półtora wieku od chwili, gdy otrzymał wreszcie z rąk Boga najwyższą zapłatę za swoje nie kończące się konanie w samotności — półtora wieku życia, śmierci, narodzin i znowu życia i śmierci. Minęło półtora wieku od chwili, gdy zabrakło jedyne go mieszkańca tego nierealnego świata wypchniętego poza granice istnienia — półtora wieku realnego świata krzątającego się dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku wokół swoich trosk i radości. Czy można się było dziwić, że wieczny przyptyw Morza nakrył wysoką falą i zagłuszył szumem milczącą Wieżę?

Znacznie bardziej znana okazała się w Aostie inna wieża — Bramafan. Zapadł już jednak wieczór, ulica między dworcem kolejowym a Bramafanem była słabo oświetlona i opustoszała. W tej skąpo ciągle — jak za czasów de Maistre'a — zamieszkałej części miasta, otaczającej przechodnia typowym krajobrazem peryferii prowincjonalnych z krzywymi płotami, zaniedbanymi ogródkami, ledwie od ziemi odrosłymi domkami i czarnymi kopcami węgla obok toru, Krzyk Głodu nie przycichł wcale w ciągu stuleci. Okrągła wieża wynurzała się dramatycznie z ciemności na tle nisko płynących chmur, które odsłaniając co pewien czas księżyc, wykrzesywały zeń jakby błyski dalekiej luny.

Ulica urywała się nagle i wypuszczała na ukos ku miastu niezbyt widoczną ścieżkę między domami przylegającymi do skraju pola. Kilkadziesiąt metrów dalej ścieżka przecinała nagi placyk i wsiąkała w otwór wąskiego zaułka. Było tu jeszcze ciemniej, ale w oddali u wylotu chwiały się blade wachlarze światła śródmieścia. Zatrzymałem się w połowie drogi na widok muru przewyższającego rosłego mężczyznę.

Poznałem bez trudu kwadratową kanciastość jej kształtu i oniemiały w pół słowa motyw kamiennej korony na szczycie, tak dobrze uchwycony przez anonimowego autora sztychu. Wspiąwszy się na palce, mogłem też przez jedyny wyłom w murze zobaczyć to, co było niegdyś częścią ogrodu Trędowatego, a teraz stanowiło kawałek podwórza zadziczony chwastami.

Nawet na starych i dawno porzuconych cmentarzach nie widuje się takiej martwej pleśni lat. Dół budynku ginał w grubych rozróżnionych badyłach i ogromnych liściach. Ściany ziały tą pustką prochu, jaką kryje tylko wciągany wolno przez ziemię kamień grobowy. Najwyższe okno tuż pod szczytem zabite było więziennym koszem z desek, reszta czerniała jak wydrążone oczodoły. Ale cisza nie wydawała się tu zupełnie martwa i to właśnie budziło niepokój. Miała w sobie coś zawieszono go, nie dokończonego, nie załagodzonego. Trudno było nie ulec na chwilę urojeniu, że jest tam w środku ktoś zamurowany i z uchem przyłożonym do szpary między kamieniami nasłuchujący odgłosów życia. Unieruchomiona przez rdzę klamka w furtce dowodziła jak dawno nikt jej nie

naciskał.

Mundur aliancki otwierał po wojnie we Włoszech wszystkie drzwi: nazajutrz rano towarzyszył mi woźny municypalny z *Ufficio delle Antichità e Belle Arti*. Dzień był słoneczny i prawie upalny. Znając drogę, z centralnego placu Chanoux trzeba nie więcej niż pięć minut by dotrzeć na róg uliczki z napisem *Via Torre del Lebbroso*.

Musiała to być z dawien dawna uliczka szewców i drobnych rzemieślników, bo nisko wszędzie sklepione wejścia zaledwie obramowywały zgarbione plecy pracujących. W stuku młotków i gwizdzie hebli nie słychać było naszych kroków, a znad warsztatów nie podniosła się ku nam żadna głowa. Przyłączyło się do nas tylko kilkoro dzieci, podając sobie w tyle za nami z nogi do nogi szmacianą piłkę. Niegdyś inne tu przed nimi dzieci wpadały po kwiaty do ogrodu za murem i wybiegały natychmiast z okrzykiem: *Buon, giorno, Lebbroso!* Co w tych roześmianych nawoływaniach mogło mu sprawiać dziwną przyjemność?

W świetle dziennym Wieża traciła wiele ze swej niesamowitości, lecz przedstawiała nadal żalony obraz cmentarnego kąta zarastającego zielskiem i pokrzywami. Kamienie posiadają pewną właściwość, która wymyka się rozumowi: starzeją się inaczej gdy służą cierpliwie ludziom, a inaczej gdy omija je z daleka strumień życia. Opuszczone przez ludzi zdają się schnąć i pękać jak skorupa ziemska nietknięta od lat kroplą wody. Odwiedzane przez ludzi, gęstnieją i twardnieją jak kora wiecznie żywego drzewa. I dzieje się tak, choćby obecność człowieka oznaczała tylko obecność jego pamięci a nie troskliwej ręki.

Zbliżałem się do niej z tym samym uczuciem, jakiego doznałem podczas pierwszej wieczornej wizyty; ale więziła teraz nie tyle zapomnianego pustelnika, co całą jego rozległą i nieludzką pustynię bez horyzontów. Jedyna tu rzecz ludzka, jedyna która łączyła jakoś ten skrawek ziemi z otaczającym go światem i stanowiła świadectwo przerwane istnienia nie zaś trwającej od niepamiętnych czasów nicości, tkwiła w przekrzywionych już i obsuwających się schodkach pod resztką muru rzymskiego obok lewego skrzydła ogrodzenia.

Nie zaraz, po przestąpieniu progu Wieży, potrafiłem odróżnić wejście na schody od usypanego pod ścianą rumowiska. Jak na dnie głębokiego leja skalnego, przyduszony wzrok wymagał dłuższej chwili, by z gry plam świetlnych, cieni i czarnych zapadni ułożyć mapę półmroku. W powietrzu unosił się stęchły zapach wilgoci i ostro — zgnilizny.

Na szczęście schody okazały się mniej zbutwiałe, niż przypuszczałem. Wspiąłem się po nich wolno nie dotykając poręczy i ocierając się plecami o mokrą ścianę, aż wreszcie na pierwszym zakręcie mogłem się uchwycić dłońmi krawędzi małego okienka. Widać stąd było część podwórza i mojego przewodnika, który rozpiął mundur na piersiach i wyciągnął się na trawie z twarzą zwróconą ku słońcu. Schody przebijały wyżej podłogę i wynurzały się na półpiętro, oświetlone przez szparę w nie domkniętych drzwiach. Uchyliłem je szerzej, ale nie wszedłem do środka: był to najniższy pokój Wieży, pokój w którym mieszkała jego siostra.

Snop światła padł wprost na dalszy ciąg schodów w przeciwległym rogu sieni. Zatrzeszczały pod pierwszymi krokami tak złowrogo, że chciałem się cofnąć. Znowu też zgęstniał mrok. Ale gdy stałem niezdecydowany, tuż nad moją głową zerwał się szybki furkot i jak nożem rozpruł w ciemnym pułapie wąski otwór. Szczelina świetlna pochodziła z drzwi, pchniętych przez uciekającego ptaka. Pozostał po nim w pokoju na najwyższej kondygnacji Wieży jeszcze jeden ślad ucieczki: ruchoma deska w koszu za oknem, która od gwałtownego uderzenia chwiała się lekko na górnych gwoździach. Odsunąłem ją na bok: roztaczał się stąd łagodny krajobraz połoniny za torem kolejowym, zaprószone gdzieś resztkami mgły porannej i smugami dymów z palonych liści.

Mała celi miała kształt kwadratu i dopiero teraz zauważyłem w niej drugie okno, zasłonięte sztuką grubego sukna. Wychodziło na miasto i na wieniec wzgórz przed Grań San Bernardo z wbitymi dalej na widnokręgu w niebo białymi kłami właściwych szczytów. W czystym kryształach górskiego tła dziwnej lekkości nabierały campanila obok kolegiaty i ośmiokątna wieżyczka klasztoru San Orso. Mieszkaniec celi nie wiedział pewnie, że chlubę kolegiaty stanowiło od wieków malowidło na lewej ścianie absydy *La miracolosa guarigione di una storpia nella chiesa e processione*³, a rzeźba na kapitelu jednej z kolumn krużganku romańskiego w klasztorze wyobrażała trzy fazy plag cielesnych, jakimi Stwórca doświadczał Hioba.

W kącie między oknami stało niskie gołe łóżko, zupełnie już niemal przygniecione do ziemi. Po drugiej stronie celi, za masywnym stołem i zydłem obciążonym skórą, dotykała ściany podłużna rzeźbiona skrzynia, z gatunku tych co w domach chłopskich w Piemencie spełniają równocześnie rolę szaf i ławek, a w razie potrzeby także legowisk na noc. Sufit załamywał się ukośnie nad glinianym piecem. Całość sprawiała wrażenie ciasnej klatki i ograniczała do niezbędnego minimum swobodę ruchów.

Naprawdę centralnym punktem celi był jednak wielki krucyfiks. Wisiał nie nad wezłowiec łóżka, lecz nad jego bokiem, tak by można się było modlić klęcząc na podłodze opierając się łokciami o posłanie. Krzyż z szerokich deszczulek pomalowanych na kolor hebanu dźwigał nieproporcjonalnie nawet do swoich rozmiarów okazałą figurę Chrystusa kutą w żelazie. Na pierwszy rzut oka chropowatości materiału, nieforemne zgrubienia żeber, oraz plamy rdzy i zaskorupiałego kurzu, wyglądały na wrzody okrywające ciało Ukrzyżowanego. Przechyloną nad miarę głowę Chrystusa ścisnęła zamiast korony cierniowej jakby duża czarna obrączka ślubna.

3 Cudowne uzdrowienie kalekiej kobiety w kościele i procesja

VI

Włoch zatrudniony w naszej misji wojskowej w Mediolanie nie powiedział całej prawdy o swym dalekim krewnym z domku pod Mucrone, i całej prawdy nie pozna zapewne nikt. Ale powiedzieć tylko tyle, że stary emeryt umarł tu zupełnie sam pod koniec wojny, to stanowczo za mało. Nasłuchawszy się po powrocie z Aosty opowiadań w pobliskiej wsi, zacząłem nawet *cum grano salis* brać słowo „umarł”: odpowiadało ono rzeczywistości zaledwie do pewnego stopnia, jeśli chodzi o sam fakt fizyczny. Absolutnie ściśle, więcej: przeraźliwie ściśle, było jedynie określenie: „zupełnie sam”.

O jego przeszłości wiedzano niewiele. Był z pochodzenia Sycylijczykiem i zanim przeniesiono go po pierwszej wojnie do Turynu nauczał na Sycylii, gdzie w roku 1908, w słynnym trzęsieniu ziemi w Messynie, stracił całą bliską rodzinę — żonę i troje dzieci. Chodziły słuchy, że został przedterminowo emerytem po wywołaniu skandalu nieudaną próbą samobójczą. Kupił ten domek w 1938 roku od owdowiałego lekarza wiejskiego, którego synowie zabrali do Turynu, i natychmiast się tu sprowadził.

W ciągu sześciu ostatnich lat jego życia widziano go we wsi wszystkiego parę razy: nie otworzył ust do nikogo z wyjątkiem swoich stałych dostawców i nie odpowiadał na zwykłe w tych stronach pozdrowienia kierowane do nieznanomych. Choć całkowicie już posiwiiał, trzymał się jeszcze dobrze i jego niezbyt wysoka, chuda postać budziła mimowolny respekt. Było przypuszczalnie w tym respekcie trochę obawy, gdyż jego oczy połyskiwały czasem ukrytym szaleństwem. Znano tu opowieści o skłonnyh do tragizmu charakterze Sycylijczyków, o tym że „myśl o śmierci noszą zawsze jak drzazgę za skórą”, i jego domek nazwano *La bara siciliana* — „trumną sycylijską”. Potem nazwa uprościła się do krótkiej *La Bara* i w tej formie przyjęła się ostatecznie. Co miesiąc wiejski goniec woził na rowerze z poczty pensję emerytalną do *La Bara*, co sobotę rano o tej samej godzinie córka karczmarza jeździła autobusem do *La Bara* z koszykiem prowiantu i na przepierkę: *il padrone della Bara* czekał na nią w najgorszą nawet nie pogodę na skrzyżowaniu szosy ze ścieżką wiodącą na przelaj zboczem ku domkowi i pomagał jej nieść koszyk pod górę.

Raz tylko odwiedził go młody proboszcz wiejski. Rozmowa odbyła się na stojąco w ogródku i nie trwała długo. Na pytanie dlaczego nie przychodzi nigdy w niedziele do kościoła gospodarz, nie podnosząc głowy znad przycinanych właśnie krzaków, odpowiedział że nie odczuwa potrzeby: to czego oczekuje wymaga nie wiary, lecz wyłącznie cierpliwości. Zapytany jak może tak żyć, odparł ze wzruszeniem ramion: — Bo nie mogę umrzeć.

W sierpniu 1944 roku spłynęły z południa do doliny Elvo resztki rozbitej dywizji SS, wylapując gdzie się dało po wsiach mężczyzn na roboty do Niemiec. W całym rejonie istniało już wtedy coś w rodzaju partyzanckiej siatki informacyjnej i wieś u stóp Mucrone, ostrzeżona na czas, wyludniła się w nocy z środy na czwartek ze wszystkich mężczyzn: nawet starców uprowadzono w góry, zostawiając w domach tylko kobiety i dzieci, a na plebanii młodego duszpasterza. W piątek rano zjawiła się na ryneczku przed kościołem ciężarówka niemiecka w eskorcie czterech motocykli. Spędzana stopniowo przez żołnierzy na plac ludność uprzytomniła sierżantowi szybko obraz sytuacji. Postanowił więc odcisnąć przynajmniej w pamięci kobiet i dzieci niezatartą lekcję i nie zabrakło mu fantazji: zapowiedział przez szofera ciężarówki znajdującego trochę włoski, że jeśli w ciągu dwóch godzin nie znajdzie się choć jeden męski mieszkaniec wsi, za ucieczkę ojców, mężów i synów zapłaci swoim życiem proboszcz.

Nie wiadomo dokładnie jak w pole widzenia tego dramatu wojennego wszedł samotny domek odległy o trzy kilometry od wsi: czy szepnęła o nim słówko kierowcy niemieckiemu któraś z kobiet, czy też zobaczył go ze skraju drogi wiejskiej jeden z żołnierzy. Dość że motocykl z przyczepką pomknął po zdobycz i wrócił z nią na plac po piętnastu minutach.

Il padrone della Bara zdawał się nic nie rozumieć z tego co się wokół niego działo. Popychany przez żołnierza, szedł w kierunku sierżanta siedzącego na stopniu samochodu i tłumu tłoczącego się na schodach kościoła spokojny i swoim zwyczajem milczący, ale zarazem blady i jak gdyby oszołomiony. Dopiero gdy żołnierz, puściwszy go na środku rynku, odstąpił kilka kroków w bok i na dźwięk komendy sierżanta uniósł lekko lufę sterzącą mu spod prawej pachy, gdy tłum kobiet i dzieci zakołysał się płaczącym lamentem, a ksiądz zaczął zmawiać modlitwę za umierających, dopiero wówczas stary człowiek zachwiał się nagle, chwycił się obiema rękami za serce i jego trzęsąca się twarz stała się jeszcze bielsza od włosów. Zawodzenie w tłumie przycichło, sierżant i żołnierz gotowy do strzału spojrzeli na siebie bez słowa. *No, no, no* — jęczał stary człowiek poszarpanym głosem. Ksiądz przerwał modlitwę, przyglądał mu się chwilę, po czym zwrócił się w stronę szofera i powiedział głośno: — *Non ne è responsabile. Non è di qui, non è di questo paese.* Stary człowiek powtarzał monotonicznie: — *Non ne sono responsabile. Non sono di qui, non sono di questo paese*⁴. Sierżant zapytał o coś tłumacza. — *È di Torino* — uprzedził jego odpowiedź ksiądz. — *Sono di Torino*⁵ — powtórzył jak echo stary człowiek. Nigdy nie słyszano tu z jego ust tylu słów naraz.

Reszta odbyła się błyskawicznie. Kiedy ciężarówka niemiecka w eskorcie czterech motocykli znikła za zakrętem szosy prowadzącej ku miastu, na placu oślepijająco białym od słońca i kredowych fasad kościoła i małego

4 Nie jest za to odpowiedzialny, On nie jest stąd, nie jest z tej okolicy. (...) Nie jestem odpowiedzialny. Nie jestem stąd, nie jestem z tej okolicy.

5 On jest z Turynu. (...) Jestem z Turynu.

Municipio leżał olbrzymi czarny ptak w kałuży krwi, z rozczapierzonymi na krzyż skrzydłami sutanny. Gromada kobiet i dzieci, zbита pod drzwiami kościoła, nie ruszała się z miejsca. Stary człowiek stał po przeciwnej stronie rynku sam, patrzył długo na księdza, wreszcie zakrył twarz dłońmi i ruszył z powrotem do domu.

Przez całe trzy kilometry szedł za nim w odległości kilkudziesięciu metrów, w spiekocie sierpnia i kurzu wijącej się pod górę drogi, tłum kobiet i dzieci. Stary człowiek często przystawał, parę razy się potknął, a raz nawet upadł i doczołgawszy się na kolanach do murku z kamieni, wparł się weń rękami i podniósł o własnych siłach. Tłum zatrzymywał się wtedy i czekał w milczeniu. Trwało to wszystko chyba godzinę. Słońce wskazywało południe, gdy pchnął z wysiłkiem bramę swego domku i stracono go natychmiast z oczu za drzewami obok żelaznego parkanu.

Nazajutrz była sobota i córka karczmarza nie pojechała do niego z koszykiem żywności. Nie miała zresztą po co. Bileter autobusu, nie spostrzegłszy go jak zwykle na skrzyżowaniu ścieżki z szosą, zatrzymał na chwilę wóz i zdjęty ciekawością podskoczył do *La Bara*. *Il padrone della Bara* leżał na kozetce w swoim pokoju martwy. Był już zupełnie zimny.

VII

Wielokrotnie próbowałem napisać opowieść o ostatnich sześciu latach życia mieszkańca Wieży w Aostie i zawsze odkładałem bezradnie pióro w połowie mniej więcej każdej nowej wersji. Jak de Maistre, nie potrafiłem sobie wyobrazić wiecznej samotności. I jak de Maistre'a, przejmowała mnie ona przerażeniem.

„Niekiedy podczas snu — powiada poeta — to co w nim oglądamy i przeżywamy uderza nas jako coś nie istniejącego i równocześnie bardziej niż realnego. Porażeni paraliżem, zatrzymujemy się niepewnie na granicy nocy i dnia; gdy otwieramy wreszcie oczy, na ułamek sekundy tracimy pewność, który z dwóch obrazów był prawdziwy: ten który się właśnie rozchwiał, czy ten który zajął jego miejsce. O tym niewymiernie krótkim momencie zawieszenia usiłuję myśleć, ilekroć chcę sobie wyobrazić godzinę mojej śmierci.”

To był może jedyny klucz do przedstawienia sobie wiecznej samotności — ów moment zawieszenia między nocą a dniem, między śnieniem a jawą, przedłużony w nieskończoność. Czyli sen śmierci w otoczonej morzem Wieży, z którego budzi dopiero niepojęty skurcz strachu w obliczu rzeczywistej śmierci. De Maistre użył do swej opowieści motta z *The Seasons*. *Winter* osiemnastowiecznego Jamesa Thomsona; ja chciałem użyć do mojej dwuwiersza z *City of Dreadful Night* jego imiennika dziewiętnastowiecznego Jamesa Thomsona:

*For life is but a dream whose shapes return
Some frequently, some seldom, some by night...*⁶

Nie zdołałem też nigdy ustalić okoliczności w jakich umarł Pier Bernardo Guasco, choć nie raz jeszcze po wojnie zaczętałem w moich podróżach o Aostę. Natknąłem się jedynie na dwa warianty. Jeden głosił, że na krótko przed śmiercią Trędowaty przestał przyjmować żywność i samozagłodzeniem przyspieszył koniec swoich dni. Drugi, że w pochmurną marcową noc wyszedł z lampą w dłoni na pustą ulicę, ale spotkawszy dalej paru spóźnionych przechodniów, uciekł z powrotem do Wieży ścigany kamieniami i przekleństwami, i wkrótce potem zakończył życie. Ze wzruszeniem i uśmiechem rozpoznałem w obu tych wariantach niezrównaną zdolność ludu do ciągłego przerabiania starych legend: tak oto w nowej postaci odżyły dwa podania dawnej Aosty — historia zagłodzenia księżniczki di Braganza w Bramafan i historia białej damy z *Torre dello Spavento*.

Nie żałuję że nie udało mi się napisać opowieści o mieszkańcu Wieży. Gdyby nie było w życiu ludzkim na ziemi rzeczy, wobec których nasza wyobraźnia rozkłada ręce, musielibyśmy w końcu złożyć rozpaczliwą przenikającą literaturę zamiast szukać w jej utworach nadziei. Ale często, gdy przymykam oczy, myślę o Trędowatym z Aosty. Lubię go sobie wyobrażać jak dociera wreszcie na klęczkach na szczyt Świętego Krzyża i z okrzykiem triumfu osuwa się, bezgranicznie zdrożony i sterany przez czas, na nagie skały. Ten krzyk ginie natychmiast w ogłuszającym huku końca świata.

Neapol, 1958

6 „Bo życie to sen jedynie, co kształtami wraca / Raz częściej, raz rzadziej, a czasami nocą...”